

LORETH ANNE WHITE

NASZE
IDEALNE
MAŁŻEŃSTWO

Przełożyła
Ewa Penksyk-Kluczkowska

MANDO 

PROCES W SPRAWIE MORDERSTWA

Obecnie, luty.

Siedziba Sądu Najwyższego Nowej Południowej Walii

Dostrzegam tłum, gdy tylko wyjeżdżamy z za rogu czarnym audi wypożyczonym przez moich prawników. Rusza ku nam, ożywiony widokiem samochodu. Policja z trudem powstrzymuje podżegaczy. Widzę otwarte do krzyku usta. Kamery. Reporte-rów. Mikrofony. Czerwone twarze rozgrzane od palącego słońca Sydney. Ale nic nie słyszę. W klimatyzowanym wnętrzu naszego wozu jest chłodno, spokojnie i cicho, jednak im bliżej budynku sądu jesteśmy, tym łatwiej mi odczytać napisy na tablicach, którymi ku nam wymachują. Ku mnie.

MORDERCZYNI!
SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA MARTINA!
ZAMKNAĆ JĄ!

Czuję się jak Alicja po drugiej stronie lustra. „Ściąć jej głowę...” To się nie dzieje. To nie może być prawda. Mocno przyciskam dłonie do ud, przerażona wściekłością, jaką rozpeł-tał mój proces. Staram się zachować kamienną twarz, tak jak

szkolili mnie prawnicy. Ale tuż przy mojej głowie jakiś człowiek przykłada do szyby pierwszą stronę „City Herald”. Wzdrygam się. Serce mi przyspiesza, gdy czytam wściekle czarne litery nagłówka:

OSKARŻONA O ZAMORDOWANIE MĘŻA: ZACZYNA SIĘ PROCES
CRESSWELL-SMITH

Poniżej widnieje moje zdjęcie.

A obok zdjęcie Martina. Grafik oddzielił nasze twarze postrzępioną linią – wygląda jak rozdarcie, symbol śmiertelnego rozłamu między nami. Oczy mnie pieką. W środku cała się trzęsę. Na zdjęciu jest taki pełen życia. Żyje. Kiedyś go kochałam. Całym swoim sercem.

Policjantka o rumianej twarzy wychylającej się spod czapki, ubrana w błękitną koszulę z krótkim rękawem i kamizelkę kuloodporną, odrywa mężczyznę od naszego samochodu. I teraz już czuję prawdziwą panikę.

Kierowca zwalnia. Mundurowi z trudem powstrzymują rozpychających się gapiów, gdy uprzątane są pachołki, byśmy mogli zaparkować. Ludzie tłoczą się na schodach aż po same drzwi Sądu Najwyższego. Na górze czeka z mikrofonami jeszcze więcej reporterów. Spośród nich wyróżnia się kobieta w krwistoczerwonym żakiecie. Jest wysoka, a jej jasnoblond włosy błyszczą w ostrym lutowym słońcu. Rozpoznaję ją. To Melody Watts z wieczornych wiadomości. Za jej plecami wzbija się do lotu stado kakadu, biało-żółte plamki przemykają między budynkami prosto w błękit nieba. To znak. Bo nie mogę pójść do więzienia. Będę wolna. Jak te wzlatające w górę ptaki, hen, daleko w słońce. Moi prawnicy mają wszystko pod kontrolą.

Przekonają ławę przysięgłych o istnieniu uzasadnionych wątpliwości. Są najlepsi w branży, a dowodzi tego wysokość ich honorarium. Wygramy.

Jestem ofiarą.

Jestem słaba.

Nie jestem morderczynią.

Taki wizerunek muszę sprzedać. Muszę przekonać dwanaścioro przysięgłych, że taką właśnie osobą jestem. To teatr. Wszyscy tu przyszli na przedstawienie, którym jest toczący się przed Sądem Najwyższym wulgarny proces w sprawie morderstwa o zasięgu międzynarodowym. Gwiazdą jestem ja. To ja podobno zaburzyłam naturalny porządek rzeczy, a kiedy naturalny porządek rzeczy stoi na głowie, wstrząsa ludzką psychiką. Ci wszyscy ludzie chcą się na mnie teraz gapić. Wypadek samochodowy. Wariat. Zło. Chcą patrzeć, jak wymierza mi się karę, jak trafiam do więzienia, żeby oni mogli wieczorem ułożyć dzieci do snu i udawać, że to wszystko nie jest normą. Chcą mnie zobaczyć na własne oczy, tak żeby – w przyszłości – jeśli zauważą kogoś takiego jak ja na ulicy, rozpoznać go, bo wówczas przejdą na drugą stronę, żeby uniknąć Potwora, zanim podejdzie za blisko, zanim ich dotknie, zarazi, omami i rzuci na nich urok.

Zerkam na Petera Lorringtona, mojego obrońcę, który siedzi w czarnej monarszej szacie i śnieżnobiałym żabocie. Perukę trzyma na kolanie. W uszach ma słuchawki. Ogląda w telefonie wiadomości na żywo. Przypominam sobie jego wcześniejsze słowa:

„Morderstwo to dwa elementy: zamiar oskarżonego oraz czyn. Oskarżyciel musi udowodnić przed sądem jedno i drugie. Że zamierzała pani zabić Martina oraz że go pani zabiła. Oskarżycielowi brakuje w równaniu kluczowego elementu. I proszę pamiętać: przed sądem może się wydarzyć wszystko. Wszystko. Koniec

końców my musimy tylko wykazać istnienie uzasadnionych wątpliwości. I to jesteśmy w stanie zrobić”.

Strategia Lorringtona polega na tym, żeby podważyć wyniki policyjnego dochodzenia i przedstawić sądowi alternatywną wersję wydarzeń, do której pasują dowody. Wersję, zgodnie z którą nie zamordowałam Martina. Wersję, zgodnie z którą policjanci schrzaniли sprawę. Jego wersja przeciwko wersji prokuratora. Finałnie właśnie na tym polega proces przed ławą przysięgłych: to starcie dwóch wersji. Walka o serca i emocje sędziów. Lorrington powiedział, że w ostatecznym rozrachunku wynik procesu bardziej zależy od emocji niż logiki.

Jestem ofiarą. Zostałam wrobiona. Nie jestem morderczynią.
Głęboki oddech. Przyjmij tożsamość...

Ofiary.

Wilgotne dłonie przesuwam po beżowej spódnicy. Beż jest neutralny. Włożyłam też beżowe buty na płaskim obcasie. Bluzkę mam prostą, białą. Białą niewinności. Poprawiam ładne okulary w rogowych oprawkach. To komunikat, że ciężko pracuję. Ostrzygłam włosy. Nie pomalowałam paznokci. Mogłabym być bibliotekarką. Mogłabym być twoją siostrą, twoją matką. Mogłabym być tobą. Skromna. Łagodna. Empatyczna. Wrażliwa. Skrzywdzona. Tak bardzo skrzywdzona. A dokładnie – wrobiona.

Przez całe swoje życie dobrze i często odgrywałam tę rolę. Umieję to robić. Mam wprawę z maskami. Wręcz jestem specjalistką od masek. Uczyłam się od mistrza. Mojego męża. Który już nie żyje. Martin Cresswell-Smith.

Samochód staje. Łup, łup, łup – łomocze mi serce.

Lorrington wyciąga z uszu słuchawki i podkręca głośność, tak żeby ja też słyszała. To ta reporterka, ta u szczytu schodów. Mówi ze zdecydowanym australijskim akcentem.

– ...Oskarżona wraz ze swoimi prawnikami właśnie podjeżdża pod budynek sądu.

Obraz się zmienia i teraz patrzymy z góry na nasz samochód. Daje to efekt surrealistyczny.

– Pani Cresswell-Smith – mówi Melody Watts – została wypuszczona za kaucją ponad rok temu, w chwili gdy postawiono ją w stan oskarżenia. Wysokość kaucji ustalono na pięć milionów. Sędzia Robert Lindsay uznał wówczas, że dowody oskarżenia „nie są słabe”, ale ostatecznie zdecydował, że ich siłę przeważa wiele innych czynników, między innymi fakt, że pani Cresswell-Smith musi się przygotować do procesu razem ze swoimi prawnikami, a poza tym w Nowej Południowej Walii nie ma kryminalnej przeszłości. Cytuję jego słowa – zerka do notatek, żeby przytoczyć je dokładnie – „Co prawda morderstwo jest najcięższą ze zbrodni, ale odmowa wyznaczenia kaucji z założenia nie ma być karą, ponieważ na tym etapie cały czas obowiązuje domniemanie niewinności”. – Podnosi twarz do kamery, słońce odbija się od jej białych zębów. – Pani Cresswell-Smith nie została uznana za osobę niebezpieczną dla społeczeństwa, oddała także paszport.

Lorrington zakłada perukę i poprawia togę. Nagle czuję suchość w ustach.

Wysiadamy.

Wilgoć uderza mnie jak ściana. Dźwięk eksploduje. Tłum się rozpycha, trajkocze, szydzi, drwi. Telefony komórkowe w wyciągniętych w górę rękach nagrywają, robią zdjęcia. Aparaty fotoreporterów atakują wielkimi teleobiektywami. Adwokat delikatnie dotyka mojego łokcia i prowadzi mnie po schodach, jego toga się nadyma. Dziennikarze atakują, wyciągają ku nam mikrofony. Są żądni krwi. Krew poprawi zasięgi w epoce śmierci mediów, ich desperacja jest brzydka.

– Pani Cresswell-Smith, czy zabiła pani męża?

– Zrobiła pani to? Zabiła pani Martina?

Oślepia mnie porażający przeblysłk pamięci, prawie się potykam. Krew. Krew Martina. Nóż wędkarski... wściekłość w oczach Martina. Gorzka żółć zdrady w moim gardle.

– Jak długo planowała pani morderstwo?

Czuję, jak złość nabrzmiewa mi w środku niczym balon na gorące powietrze. Serce bije jak szalone. Żywa nienawiść do Martina napiera na pieczołowicie zbudowany mur emocjonalny. Zwijam dłonie w pięści, zaciskam zęby, wspinając się po schodach w asyście prawników w ich powiewających czarnych togach.

– Niewinna, dopóki nie udowodni się jej winy – woła jakaś duża kobieta.

– Suka! Morderczyni!

Gniew rozsadza moją fasadę, która rozpada się w milion połyskujących kawałków, a mnie wypełnia ohyda wściekłości. Aż chciałabym wyrządzić komuś fizyczną krzywdę. Odwracam się, otwieram usta, by rzucić wściekłą ripostę.

Migawka strzela mi w twarz.

O cholera.

Prawnik chwyta mnie za ramię.

– Nie daj się sprowokować – syczy mi do ucha. – Nie patrz w obiektyw. Nie uśmiechaj się. Nic nie mów.

Za późno. Operator, którzy krzyknął obrzydliwą obelgę, przyłapał mnie. Uwiecznił moją ściągniętą, wykrzywioną twarz, wściekłość w moich oczach.

Trzęsę się od adrenaliny. Pot zbiera mi się na górnej wardze. Pod pachami czuję wilgoć.

– Sprawiedliwość dla Martina! Sprawiedliwość dla rodziny Cresswell-Smith!

Nagle widzę ich przy drzwiach. Rodziców Martina. A obok nich po jednej stronie stoi jego siostra, po drugiej zaś brat. Dostrzegam spojrzenie brata i aż staję w miejscu. Wstrząsające podobieństwo. Zupełnie jakby stał tam Martin, jakby patrzył na mnie spod wejścia do sądu, osądzał, napominał mnie z za grobu. Za kilka lat wyglądałby dokładnie jak brat... gdyby żył. Na tę myśl ściska mi się żołądek.

Jak to w ogóle możliwe, że ludziom zdarzają się takie rzeczy?
Kiedy to się zaczęło?

Może z chwilą naszej przeprowadzki do Jarrawarra Bay, kiedy zakwitły eukaliptusy płamiste i pojawiły się lisy latające?

Nie, to się zaczęło dużo wcześniej...

„Przyglądaj się uważnie kubkom, Ellie – powtarzam w głowie za ojcem. Koncentruję się. – Bo życie to gra w trzy kubki, a w tej grze wygrywa tylko prowadzący, nigdy obstawiający. Albo rozgrywasz, albo przegrywasz”.

W tej sztuczce z pewnością siebie zamierzam być prowadzącą. Powoli podnoszę wzrok na imponujący budynek, w którym pracuje machina sprawiedliwości. Wyobrażam sobie twarze przysięgłych.

Wypuście mnie stąd, wszyscy jak jeden. Bo sprzedam wam swoją historię.

Tylko patrzcie.

WTEDY

Lozza

*Ponad rok wcześniej, 18 listopada.
Agnes Basin, Nowa Południowa Walia*

Motorówka policji z Jarrawarra Bay wycinała gładkie V w ciemnych wodach Agnes River. Starsza posterunkowa Laurel „Lozza” Bianchi stała na prawej burcie z posterunkowym Greggiem Abbottem. Przepatrywała ciemniejące cienie wśród mangrowców na północnym brzegu. Na pokładzie byli w czwórkę. Posterunkowy McGonigle stał za sterami, a drogę wskazywał mu Barney Jackson, stary poławiacz krabów, który znalazł ciało i wezwał służby.

Teraz, pod wieczór, wilgoć aż dusiła. Lozza czuła na wargach cuchnące powietrze. Wszystko było pogrążone w upiornej ciszy, którą zakłócał tylko pomruk ich silnika i od czasu do czasu głuchy mlask, gdy rozjeżdżali wielką meduzę unoszącą się w stronę morza. Meduzy miały wielkość piłki do kosza i ciągnęły za sobą falbaniaste czułki ozdobione wąsami o jadowitych kolcach.

Mniejsze słonowodne kanały wdzierały się labiryntem w serce mangrowcowej płaszczyny. Lozza wiedziała, że mułowate dno kanałów obfituje w kraby błotne o skorupach, które mogą urosnąć

szerokie jak głowa mężczyzny. Wszystkożerne i kanibalistyczne, były agresywnymi padlinożercami o kleszczach zdolnych miażdżyć pancerze. Odcinać palce. Cokolwiek czekało na funkcjonariuszy w wilgotnych cieniach estuarium, na pewno nosi ślady tych błotnych stworów.

Minęli przechylający się stary pomost. Z wody wystawały gnijące pale. Na nich przysiadły kormorany, zwiesiwszy u boków czarne skrzydła do schnięcia. Śledziły wzrokiem przepływającą łódź motorową.

W oddali przetoczył się grzmot.

Gregg spojrzął w niebo.

– Myślicie, że nadejdzie burza? – spytał.

Lozza podążyła za jego wzrokiem. Ponad wysokimi eukaliptusami krążyły bieliki biało brzuche, odcinające się na tle pasm chmur, które zmieniały kolor na groźny cynobrowy i pomarańczowy, w miarę jak słońce coraz niżej chyliło się nad horyzontem.

– Diabli wiedzą – odrzekła cicho. – Ale niedługo się ściemni. Przydałoby się rzucić okiem na pływaką, dopóki jest jakieś światło.

– Te cholerne lisy wylecą, jak tylko słońce schowa się za drzewa – powiedział Gregg. – Tu chociaż nie są takie straszne jak na południe od Jarry.

Jakby na zawołanie z korony eukaliptusa w kakofonii pisków wzbiła się w niebo chmara wielkich nietoperzy rudawkowatych. Niemal jednocześnie zaczęły wrzeszczeć kakadu i lorysy. Ziemia westchnęła i poruszyła się, budząc lekką bryzę. Nastrój na rzece się zmienił.

– Nienawidzę ich – burknął Gregg, zezując na chmary stworzeń. – Całą noc kłóć się na eukaliptusie pod oknem mojej sypialni. Jak jakieś cholerne wiedźmy ujadające na sabacie. I cuchną.

Wszystkich drażniły wielkie nietoperze, które ostatnio z tajemniczych powodów masowo pojawiły się w rejonie. Zaczynały nadlatywać stadami, gdy kwitła jedna z odmian eukaliptusa, a potem coraz więcej rudawkowatych nadciągało wzdłuż szosy niczym zapowiedź nieszczęścia. Wreszcie ich liczba rosła tak, że obsiadły niemal każdy budynek, skałę, drzewo i pojazd w mieście na południe od Jarrawarry.

– Jak w filmie Hitchcocka – zauważyła Lozza.

Gdzieś zachichotała kukabura.

Motorówką zakołysało, gdy Mac skierował ją na bardziej wzburzone wody Agnes Basin. W wielkim zbiorniku – zajmującym niemal czterdzieści kilometrów kwadratowych – roiło się od wielkich meduz. Wyglądał jak bubble tea.

– Płyn jakies pół kilometra po wschodniej stronie akwenu, o tam. – Barney wskazał kierunek sternikowi. Głos miał ochrypły i drżący. – A potem skręcisz w głęboki, wąski kanał i to będzie już. – Pod siecią czerwonych żyłek twarz Barneya była woskowa, błyszcząca od potu. Rękawem otarł czoło. Lozza zauważyła, że drżą mu ręce. Może musiał się napić. Albo może był zdenerwowany. A może jedno i drugie.

Barney popłynął sprawdzić swoje nielegalne pułapki na kraby. Tymczasem znalazł ciało mężczyzny, blondyna, zaplątane pod wodą w jedną z jego lin.

– O tam, tam jest ujście kanału. – Wskazał ciemną przerwę między mangrowcami. – Tam płyn.

Mac zwolnił i ostrożnie skierował łódź w ujście kanału. Woda z chlupotem rozbijała się o dziób. Gorące powietrze było coraz wilgotniejsze. Gałęzie wyciągały ku nim paluchy, a gałązki cicho drapały kadłub. Mac zwolnił jeszcze bardziej. Im głębiej wpływali, tym ciemniej się robiło. Goręcej. Nad wodą bzyczały chmury

komarów, a maleńkie robaczki wpadały w pułapkę pomarańczowych loczków, których burza okalała twarz Lozzy, choćby nie wiadomo jak się starała zebrać je w schludny koczek.

Mac włączył reflektory i natychmiast z mroku wyskoczyły na nich upiorne kształty i cienie. Bagno emanowało obecnością, jakby coś się w nim kryło i czekało na właściwy moment, by ich pochwycić. Powietrze cuchnęło obrzydliwie.

– Myślisz, że to on...? Cresswell-Smith? – spytał Gregg.

– To by było dziwne – odparła.

– Fakt. Bo jeśli wypadł za burtę dziesięć kilometrów od brzegu, to jak by go tu przyniosło? To nie ma sensu.

Lozza zerknęła na nowego kolegę, świeżo po okresie próbnym. Za dużo mówił. Zwłaszcza zdenerwowany. A w sumie zawsze. To Lozzę strasznie irytowało. Jej zdaniem w pracy należało zachować milczenie. Wiedziała też, że jej irytacja po części bierze się z tego, że Gregg, w cywilu surfer, jest przystojny i że tak naprawdę bardzo ją pociąga. Trafił do policji nietypowo późno. W czasie wolnym dalej prowadził swoją szkółkę surferską, uczył też córkę Lozzy. Ale przystojniacy raczej nie patrzyli na Lozzę w ten sposób. W związku z tym ona była do nich raczej wrogo nastawiona.

Trzasnął grzmot i zapulsowała błyskawica, zamieniając ich otoczenie w czarno-białą stopklatkę. W wodę uderzyły pierwsze krople deszczu. Lozza przypomniała sobie, jak poznała na plaży żonę Martina Cresswell-Smitha. To ona będzie musiała powiadomić Ellie, jeśli rzeczywiście ciało jej męża leży zaplątane w krabową pułapkę Barneya. Przypomniały się jej słowa, które kobieta wypowiedziała w trakcie wcześniejszego spotkania: „Mam nadzieję, że go nie znajdziecie. A jeśli znajdziecie, to mam nadzieję, że nie żyje i że cierpiał”.

– Tam! – wskazał nagle Barney. – Widzicie ten pomost? Przywiązałem swoje pułapki do korzeni zaraz za nim.

Mac wyłączył silnik. Słuchali, jak drobne fale kłaskają o kadłub, gdy siłą inercji zbliżali się do pomostu. Huknął grzmot i błysnęła srebrna błyskawica. Gdy słońce schowało się za horyzontem, a niebo przesłoniły burzowe chmury, wszystko zrobiło się ciemniejsze.

Lozza odpięła od pasa latarkę, włączyła ją i przesunęła snopem światła po pomoście. Zobaczyła, gdzie Barney przywiązał swoje zniszczone liny do korzeni mangrowców. Sam pomost był nowy – należał do kontrowersyjnej inwestycji Agnes Marina, którą finansowali Martin Cresswell-Smith i jego żona. Barney wyjaśnił wcześniej Lozzie, że nad powierzchnią wody używał lin wyglądających na zniszczone, by ukryć fakt, że niżej znajdują się jego nielegalne pułapki. Ale pod wodą do starych lin były dowiązane jaskrawopomarańczowe liny polipropylenowe, a na ich końcu znajdowały się kłusownicze konstrukcje. Kiedy dzisiaj Barney przyплыł sprawdzić łupy, pociągnął za liny i stwierdził, że jedna utknęła na amen. Nie chcąc jej odcinać, by nie stracić pułapki za pewne pełnej krabów, postanowił wrócić z synem kumpla i uwolnić linę. Nastolatek zanurkował z płetwami i w masce, wzdłuż pomarańczowej liny zszedł na sam dół. W mętnej wodzie znalazł się twarzą w twarz z uwięzionym ciałem.

Dzieciak jak szalony uciekł na powierzchnię i gwałtownie zaczerpnął powietrza. Barney powiedział, że nie mogą „tego” zostawić na dole. Że „to” może być ktoś, kogo znają. Więc biedny dzieciak zebrał się na odwagę i zszedł na dół raz jeszcze i nożem przeciął linę. Ciało wystrzeliło ku powierzchni jak napełniony balon i wynurzyło się w małej zatoczce za pomostem, po czym zniosło je między korzenie mangrowców.

– Zablokowałem je w korzeniach – powiedział wtedy Barney. – A potem wróciliśmy na otwarte wody, żeby złapać zasięg. I zadzwoniłem po was.

Policyjna motorówka powoli płynęła wzdłuż pomostu, Mac tylko sterował tak, by reflektory oświetlały płytką zatoczkę. Zobaczyli ciało niemal od razu – połysk skóry białej jak na rybim brzuchu. Koszula khaki. Żółtoblond włosy. Bez spodni. Białe pośladki wychylały się z wody jak półksiężycy, gdy ciało kołysało się w trzcinach przy płataninie korzeni, uwięzione tam delikatnym prądem.

Barney przeżegnał się szybko.

– Zacumuj przy pomoście – poleciła Lozza Macowi. – Przejdziemy z Greggiem przez zarośla na drugą stronę. – Sternik odpalił silnik, który z pomrukiem wypuścił strumień baniek, łódź doskoczyła do pomostu i uderzyła weń z głuchym odgłosem. Dokładnie nad nimi huknął grzmot, błyskawica przecięła niebo. Deszcz zaczął lać miarowo, znacząc dziobami i rozpryskując ciemną wodę. Wielkie krople lśniły srebrzyście w blasku reflektorów.

Lozza z Greggiem wysiedli na pomost. Przyświecając sobie latarkami, weszli do bagnistego lasu. Lozza rozłożyła pałkę i uderzała nią w płataninę traw i trzcin, płosząc ewentualne węże. Gregg szedł tuż za nią. Przeklinając, pacnięciami dłoni tłukł siadające na nim komary. Wyglądało na to, że owady wolą jego krew niż koleżanki.

To jej dało odrobinę satysfakcji. Nie tylko kobiety leciały na adonisa.

Dotarli do zwłok. Lozzie podniosło się ciśnienie. Ciało niewątpliwie należało do mężczyzny. Leżał twarzą w dół, ręce unosiły się bezwładnie w miarę ruchów kołyszącej się wody. Koszula khaki

przypominała tę, którą Martin Cresswell-Smith miał na sobie w chwili, gdy cztery dni temu wypłynął na ryby. Gęste blond włosy też się zgadzały, podobnie jak wielkość ciała i sylwetka. Łajdak dobrze się prezentował – niczym bożyszcze rugby. Był pewny siebie i uroczy, jeśli tylko chciał. Ale pod tą fasadą Lozza dojrzała coś mrocznego i złowieszczego.

Przykucnęła na brzegu i przyglądała się ciału, starając się nie zsunąć ze śliskiego brzegu ani nie dotknąć niczego. Znała procedury. Zanim została przeniesiona na Południowe Wybrzeże i wróciła do rutynowych obowiązków szeregowego funkcjonariusza, całe lata pracowała w wydziale zabójstw w Nowej Południowej Walii. Zachowała swoją rangę detektywa, chociaż nie zwracano się do niej per „pani detektyw”, ponieważ nie była zatrudniona jako śledcza.

Kolejna pulsująca srebrzysta błyskawica rozbłysła, kiedy Lozza przepatrywała ciało, przyświecając sobie latarką.

– Myślisz, że to on? – spytał Gregg.

Zdecydowanie myślała, że to on. Ale młody miał rację – to nie miało sensu. Łódź Martina Cresswell-Smitha opuściła slip Bonny River, odległy stąd pół godziny jazdy samochodem wzdłuż wybrzeża. Zameldował się u straży przybrzeżnej i powiedział, że kieruje się na pełne morze w kierunku południowo-wschodnim. Gdyby miał wypadek na morzu, jego ciało w żaden sposób nie mogłoby zdryfować na północ, a potem do ujścia Agnes River i przez Agnes Basin aż w głąb kanału.

– A jeśli to on – podjął posterunkowy – to gdzie jego łódź? Gdzie jest Abracadabra?

– Gregg, zamknij się na chwilę, proszę.

Pacnął kolejnego komara. Nad ciałem krążyły muchy. Lozza przesunęła strumień światła wzdłuż lewej ręki mężczyzny.

Na palcu ujrzała obrączkę z czerwonym kamieniem. Już ją widziała. U Martina. Ale na nadgarstku nie było rolexa. Martin Cresswell-Smith zniknął z bardzo drogim rolexem daytoną w kolorze brązu.

Młody zabił kolejnego komara. Przy tym gwałtownym ruchu światło jego latarki śmignęło po mangrowcach. Z ciemności wyskoczyło coś ciemnego. Gregg uskoczył przed przerażonym kormoranem, omsknęła mu się stopa, postawiona zbyt blisko krawędzi. Pośliznął się i z głośnym pluskiem wpadł do wody. Zaklął i jak szalony usiłował się wdrapać z powrotem, poruszywszy przy tym zwłokami, które obróciły się na plecy.

Gregg zamarł.

Lozza skamieniała.

Patrzyły na nich puste oczodoły. Z nosa i warg denata zostały poszarpane resztki. Zniknęły miękkie tkanki w rejonie kroczka. W ich miejscu kłębiła się masa kaligidów. Ale wzrok Lozzy przyciągnęło coś innego.

Głęboko w piersi zmarłego tkwiła wbita głęboko osęka. Na jej uchwycie widniał czarny napis „Abracadabra”. A koszula na całej klatce piersiowej nosiła ślady cięć najpewniej od noża. Było ich co najmniej piętnaście. Lozza się nachyliła, przyświecając sobie latarką. Obrzękniętą szyję otaczała ciemna ligatura. Na nadgarstkach dostrzegła kolejne ślady. Obejrzała prawą rękę nieboszczyka. Brakowało w niej trzech palców. Ucięte równo, powyżej stawów. Krab nie zrobiłby tego tak schludnie.

Gregg z chłupotem wy dostał się nieporadnie na brzeg. Wszedł na dwa kroki między trawy, pochylił się, oparł dłonie na kolanach i zwymiotował.

Lozza zajęła się liną w kostkach denata. Polipropylen. Jasnożółto-niebieska. Inna niż lina Barneya. Gdyby Lozza lubiła się

zakładać, postawiłaby na to, że reszta tej żółto-niebieskiej liny została użyta do uwiązania ciała ofiary do czegoś ciężkiego pod wodą, gdzie kraby, ryby, kaligidy i inne mangrowcowe stworzenia w ciągu paru dni oskubałyby kości do czysta. A potem szkielet by się rozpadł i zniknął w miąższ mule. Z ciała nie zostałoby nic, co dałoby się odnaleźć. Gdyby Barney i jego pułapka nie trafili na liny zabójcy.

Znowu pomyślała o Ellie – jej rzekomej utracie pamięci i dziwnych zachowaniach. Zrobiło się jej niedobrze. Czy ona ich wszystkich zwiodła? Czy dalej z nimi wszystkimi pogrywała? Każdym kolejnym krokiem?

Bo to jasne jak cholera, że nie chodziło o żaden wypadek przy wędkowaniu. Żadne zaginięcie męża na morzu. To było morderstwo.

Lozza sięgnęła po telefon i wezwała posiłki. Co prawda to ona z Greggiem jako pierwsi przybyli na miejsce zbrodni, ale śledztwo musi przejąć State Crime Command.

A Ellie Cresswell-Smith była teraz ich główną podejrzaną.

PROCES W SPRAWIE MORDERSTWA

Obecnie, luty.

Siedziba Sądu Najwyższego Nowej Południowej Walii

Gdy podnosi się Molly Konikova, prokuratorka, pilnuję, żeby trzymać ręce na podolku. Woźny kładzie jej segregator na pulpicie po prokuratorskiej stronie stołu. Jest drobna jak ptaszek, ginie w jedwabnej todze, która układa się wokół niej niby ogromne czarne skrzydła. Cienkie wargi. Haczykowaty nos. Kościste, nerwowe dłonie. Matowe pasma ciemnobrązowych włosów wystają spod białej peruki. Czuję podniecenie – ona jest karykaturą, karykaturą niekompetencji i słabości. Na pewno ława złożona z dwunastu rozsądnie wyglądających obywateli usadzonych naprzeciwko mnie potraktuje mojego obrońcę poważniej niż tę wróblęcę. Mój obrońca jest wysoki, harmonijnie zbudowany, ma białą skórę i gęste ciemne włosy, a jego sądowy strój jest raczej elegancki niż złowieszczy. Promieniuje od niego spokój i wyrafinowana inteligencja, to człowiek, który umie czytać w myślach ławników, i manipulować, bo sam jest iluzjonistą.

Konikova mi się przygląda. Otwarcie. Zimnym wzrokiem. Niemal stalowym. Może źle ją oceniłam? Nie, raczej nie. Odczekuje

chwilę, a potem kieruje wzrok na przysięgłych – siedmiu mężczyzn, pięć kobiet. Mężczyźni raczej starsi. Mój los w rękach mężczyzn, myślę. Kobiety krytyczniej oceniają siebie nawzajem. Pewnie dlatego, że wad, które dostrzegamy w innych kobietach, strasznie nie chcemy zaakceptować u siebie. Krytycyzmem wobec innych kobiet atakujemy te cechy, których najbardziej w sobie nienawidzimy.

W sali sądowej zapada cisza. Napięcie gęstnieje. Jest za gorąco, nie ma naturalnego światła. W mojej piersi wzbiera niepokój. Zerkam na zamknięte drzwi. Nigdy nie znosiłam dobrze poczucia, że jestem gdzieś zamknięta. Nagle na myśl o ewentualnych latach osadzenia – dwadzieścia pięć albo i dożywocie – wypełnia mnie tak jednoznaczne przerażenie, że żółć podjeżdża mi do gardła. Zwilżam wargi. Koncentruję się na tym, by trzymać dłonie nieruchomo. Palce stóp ustawiam prosto do przysięgłych, tak jak mnie przeszkolono. Dzięki temu jestem ponoć zwrócona w najkorzystniejszym kierunku.

Konikova zaczyna mowę, jej głos mnie poraża. Nie pasuje do jej wyglądu. Jest wielki. Zwłaszcza przez system nagłaśniający. Pewny siebie, choć przyjazny. Serce bije mi szybciej.

Mówiono mi, że głos jest najważniejszy u prawnika na sali sądowej. Prawnik procesowy z głosem, który nie robi wrażenia, zawsze znajduje się w trudniejszym położeniu. W końcu to teatr. Prawnicy to aktorzy, wytrawni opowiadacze historii, i nie każdy absolwent prawa spełnia warunki, żeby się w tej roli sprawdzić. Mój niepokój rośnie. Może naprawdę nie doceniłam prokuratorki. Dopada mnie zwątpienie.

– ...a w trakcie procesu – mówi – przedstawimy wstrząsający obraz kobiety, która w swoim zgorzknieniu, rozjuszona zazdrością i zdradą, tak znienawidziła swojego męża, że przemyślnie

i z zimną krwią zaplanowała ostateczną zemstę. Morderstwo. – Czeka na werble. Jedyne odgłos to szuranie kredy sądowej rysowniczką.

– Zgoda – podejmuje Konikova – ofiara, Martin Cresswell-Smith, nie była aniołem. Ze wszystkich zeznań wynika, że był socjopatą, który obudził w swojej żonie najgorsze instynkty, ale też z wzajemnością. Relacja tych małżonków rozwinęła się w brutalną spiralę, pokrętną bitwę prowadzącą do ostatecznego końca. Do śmierci. – Kolejna przerwa. Rysowniczka podnosi wzrok, przygląda mi się i podejmuje pracę. Zastanawiam się, co widzi. Kogo widzi.

Jestem ofiarą. Jestem skromna. Skrzywdzona.

– ...A ta haniebną wojną, która toczyła się między małżonkami Cresswell-Smith, nie ograniczała się do nich. Pociągnęła za sobą krzywdę niewinnych osób.

Wśród publiczności widać poruszenie. Na sali jest wielu policjantów. W prasie pojawiały się hipotezy, że jedną ze strategii obrony Lorringtona będzie zdyskredytowanie najważniejszych śledczych w sprawie – starszej posterunkowej Laurel „Lozzy” Bianchi, sierżanta Corneila Tremayne’a i posterunkowego Gregga Abbotta. A więc dla nich to sprawa osobista. Ławnicy niemal niedostrzegalnie nachylają się do przodu. Prokuratorka złapała ich na haczyk. I teraz zaczyna wybierać żyłkę. A oni wszyscy chcą grać swoje role w procesie decyzyjnym. Chcą widzieć złoczyncę. Chcą widzieć, jak złoczyńca się płaszczy, pada i potężne prawo wymierza mu karę. Muszą zobaczyć triumf bohatera. Dzięki temu poczują, że ze światem wszystko jest w porządku. Konikova daje im dokładnie to, po co przyszli, szansę na spełnienie szlachetnego obowiązku obywatelskiego i naprawienie ohydnej zła. Wiem, jak to działa.

Nienawidzę jej od tej chwili i z trudem skupiam się z powrotem na jej słowach, które zlewają się w mojej głowie w jeden ciągły dźwięk.

– ...i krok po kroku, zgodnie z logiką, na podstawie niepodważalnych dowodów, opierając się na raportach policyjnych, na zeznaniach świadków i na opinii biegłego psychologa, oskarżenie wykaże Wysokiemu Sądowi, że ta oto oskarżona – kieruje dłoń w moją stronę, czeka, aż wszyscy członkowie ławy przysięgłych na mnie spojrzą, przyjrzą mi się dokładnie i długo – jest przebiegłym, zimnym, wyrachowanym mózgiem zbrodni. Że to kameleon zdolny udawać skromną osobę. Nie dajcie się jej zwieść – mówi – bo na koniec procesu będziecie musieli uznać ją winną wszystkich zarzucanych czynów. Nie ma innej możliwości.

Przez widownię przechodzi szmer niczym niewidoczny prąd. Reporterzy piszą gorączkowo w notesach. Przetykam ślinę. Po między moimi piersiami ześlizguje się kropla potu. Swoje rozpaczliwe pragnienie wolności skupiam na Peterze Lorringtonie i jego ekipie.

Konikova przechyla głowę w peruce w stronę Lorringtona.

– Niewątpliwie mój szacowny kolega z palestry podejmie próbę zaciemnienia obrazu całej sprawy. Zmylenia was. Przedstawi wam alternatywną wersję wydarzeń i spróbuje dopasować ją do faktów. Ale pamiętajcie, to tylko opowieść, fikcja. Iluzja. Nic poza tym. Najpewniej przedstawi wam opowieść o ofercie przemocowego i dominującego męża, który pchnął ją do granic szaleństwa. – Konikova milknie i kiwa głową. – Tak, on sądzi, że jesteście łatwowierni. Psychologowie powiedzą wam, że łatwo wierność jest głęboko zaszczepiona w każdym z nas, a kiedy się zanurzamy w historię, która budzi emocje, łatwo stracić czujność.

Waszym obowiązkiem jest nie ulec, nie stracić czujności, nie odrywać wzroku od piłki.

Lorrington wygładza toę i podnosi wzrok na sufit, jakby się nudził.

– Obrona będzie się starała zdeprecjonować ciężką pracę funkcjonariuszy policji. Będzie się starała podsunąć innych podejrzanych. A wszystko po to, by stworzyć choćby cień uzasadnionych wątpliwości. Jeśli uwierzycie obronie, tej kobiecie ujdzie na sucho zamordowanie męża. Nie możecie tego zrobić. Jesteście tu, by wypełnić obywatelski obowiązek. Jesteście tu, by naprawić zło. A to, co się tu dokonało, to wielkie zło. Naprawmy to.

Konikova siada na miejscu i sięga po szklanę wody.

– Panie Lorrington? – odzywa się sędzia Geraldine Parr. – Ma pan coś do dodania?

Mój obrońca podnosi się powoli. Wszyscy widzą, jaki jest wysoki. Atmosfera się zmienia. On dominuje. Wszyscy czekają na jego wystąpienie, jego kontrę. Uśmiecha się. A niech mnie, uśmiecha się. Też mam ochotę się uśmiechnąć – ze zwyczajnej ulgi, z poczucia, że ta onieśmielająca osoba stoi za mną – wraz ze swoją reputacją pogromcy sądowych, który urabia sędziów jak wosk swoimi eleganckimi bladymi dłońmi.

– Coś pana bawi, panie Lorrington? – Sędzia Parr zerka znad okularów do czytania. – Czy może przejdziemy do przedstawienia linii obrony?

Jestem świadoma, że mowa mojego obrońcy będzie bardzo krótka i ogólnikowa. Wypada, by obrona wysłuchała wszystkich argumentów oskarżenia i wszystkich świadków oskarżenia, zanim postawi na jakąś konkretną wersję wydarzeń.

– Wysoki Sądzie – mówi Lorrington swoim tubalnym barytonem, trzymając się mocno boków mównicy. – Wygląda na to, że pani prokurator pozwoliła sobie nakreślić za mnie linię obrony.

Na widowni rozlega się śmiech. Widzę też uśmieški na twarzach niektórych sędziów. Rysownicza sprawnie przekłada kartkę, teraz pracuje szybciej.

– Cisza – woła woźny.

– Ale w rzeczy samej – ciągnie Lorrington, zwracając się do przysięgłych – oskarżenie ma słuszność, gdy mówi o alternatywnej wersji wydarzeń. Takiej, która lepiej pasuje do dowodów. Wykażemy Wysokiemu Sądowi, że wszystko wygląda inaczej, niż twierdzi oskarżenie. Pani prokurator ma też słuszność w każdym calu w jeszcze jednej kwestii: trzymajcie rękę na pulsie. Czytajcie między wierszami jej mowy. I nie traćcie czujności ani na chwilę, ponieważ waszym obywatelskim obowiązkiem jest nie skazać niewinnej osoby za zbrodnię, której nie popełniła. To jest wasz obowiązek wobec sprawiedliwości. Właśnie to brzemień spoczywa teraz na waszych ramionach.

Z szykownym strzepnięciem togi siada na miejscu obok swojego asystenta.

– Pani pierwszy świadek, pani prokurator? – mówi sędzia.

Konikova wstaje.

– Wysoki Sądzie, oskarżenie wzywa na świadka starszą posturką Laurel Bianchi z Policji Południowego Wybrzeża.

Otwierają się drzwi sali sądowej.

Wchodzi policjantka z kręconymi pomarańczowymi włosami i piegawatą ogorzałą twarzą. Policzki ma rumiane. Sprawia wrażenie przegrzanej w spodniach wyjściowych, białej bluzce i niedopasowanej marynarce. Mała pięść zaciska się w moim brzuchu, gdy

Lozza kieruje się do miejsca dla świadków. Jest masywna i idzie krokiem zdradzającym pewność siebie, ręce trzyma odsunięte od bioder, jakby znajdował się tam pas z bronią. Kiedy się zbliża, widzę bliznę na jej czole.

Zajmuje miejsce dla świadków przy ławie przysięgłych. Nie patrzy na mnie.

– Proszę o ciszę – woła woźny sądowy do zgromadzonych. Zwraca się do Lozzy, która poprosiła o zeznawanie bez przyrzeczenia. – Deklaruje pani szczerze i uroczyście, że zeznanie, które pani złoży, będzie samą prawdą i tylko prawdą? Proszę odpowiedzieć „tak”.

– Tak.

Pożałujesz.

Nie odrywam wzroku od blizny na jej skroni.

Wykorzystam twoje dawne błędy, twoją porywczność i skłonność do przemocy, Lozzo Bianchi. Lorrington cię powali. Bylebym ja wygrała.

Szkoda, że twoja córeczka zobaczy, kim naprawdę jest mamusia. Potworem.

Adrenalina napływa do moich żył. Gra się rozpoczęła. Czuję smak krwi.

Dłonie Konikovej przetrząsają teczkę.

– Proszę podać Wysokiemu Sądowi swoje pełne nazwisko.

Śledcza nachyla się do mikrofonu.

– Starsza posterunkowa Laurel Bianchi. Jarrawarra Bay, Policja Południowego Wybrzeża.

– Pani Bianchi, czy może pani opowiedzieć Wysokiemu Sądowi, gdzie pani była osiemnastego listopada ponad rok temu?

Lozza zerka na mnie.

Błąd. Tu cię mam.

Ale gdy jej wzrok się na mnie zatrzymuje, czuję, jak przeszywa mnie cieniutkie ostrze przerażenia. Może Lozzy Bianchi też nie doceniłam.

Tak jak błędnie oceniłam, jak fatalnie mogą wymknąć się spod kontroli losy moje i Martina, tamtej zimnej styczniowej nocy po drugiej stronie świata jakieś dwa lata temu.

WTEDY

Ellie

*Ponad dwa lata wcześniej, 9 stycznia.
Vancouver, Kolumbia Brytyjska*

To był bardzo wietrzny dzień, miotane silnymi podmuchami nagie gałęzie klonów stukały o szyby, kiedy wreszcie spakowałam sukienkę balową Chloe.

Delikatnie położyłam ją na wierzchu walizki z paroma innymi jej rzeczami, z którymi ciągle nie miałam siły się rozstać. Wpatrywałam się w małe ubranka, słuchając wiatru, i dopadły mnie wspomnienia. Sukienka była w małe tańczące słonie. Nie wiedzieć czemu moja córka uwielbiała słonie.

Miała na sobie tę sukienkę w dniu trzecich urodzin. Trzydzieści sześć miesięcy, całe życie przed nią. Rączki i nóżki miała ciągle po niemowlęcemu pulchne. Uśmiech od ucha do ucha. Wilgotną skórę. Emanowała obietnicą, przyszłością. Duszę wypełniło mi wspomnienie jej chichotu, gdy tata łaskotał ją po brzuszku. Nagle zobaczyłam, jak zaciska w łapce więdnące polne kwiaty, podając mi je w cytrynowosłoneczny wiosenny dzień. Poczułam zapach mojej córeczki, objęłam ją. I znowu doznałam tej pustki w piersi, tej bolesnej dziury. Po dwóch latach poczucie utraty wciąż było żywe. Do wypadku doszło trzy miesiące i dwa dni

po jej trzecich urodzinach. Po tym jak ubrała się w tę sukienkę. Jej życie na ziemi trwało trzydzieści dziewięć miesięcy i dwa dni.

I po co?

Jakie znaczenie, do cholery, miało to wszystko? Po co to ciągnąć?

Przez jakiś czas nie chciałam.

Część mnie umarła – utopiła się – wraz z moim dzieckiem tamtego dnia. A w następstwie tragedii mój związek z Dougiem się rozpadł, nasze małżeństwo więdło jak winogrona pozostawione na zimę na pędzie winorośli.

Wyładowywałam się na Dougu. Wyładowywałam się na sobie. Pewnie zdrada Douga była karą, którą sama na siebie ściągnęłam. Terapeutka powiedziała, że atakując go, dawałam upust własnemu poczuciu winy. Że atakowałam męża, żeby mnie znienawidził, co miało być dla mnie karą, i że muszę uwolnić się od tego poczucia winy, ponieważ nie jestem winna śmierci Chloe.

Ja nie byłam tego pewna.

Może gdzieś w głębi na zawsze zachowam poczucie, że to jednak moja wina.

Terapeutka mi pomogła, ale nie zdążyła ocalić mojego małżeństwa. Nasze wspólne życie kręciło się wokół mojego zajścia w ciążę, wokół zajęć jogi przedporodowej, celebrowania zdjęć z usg, przyjęć przedporodowych, kupowania ubranek, przyjęcia z okazji obwieszczenia płci dziecka, szykowania pokoju dla Chloe, karmienia piersią i wprowadzania sztucznych pokarmów, rezerwowania przedszkola... po prostu rodzicielstwa. Byliśmy rodziną trzyosobową planującą powiększenie o kolejnego członka, może dwóch. I nagle przestaliśmy nią być. Matka, żona, tamta ja już nie istniała. Powoli traciłam znajome z grup mamusiowych. Nie miałam już komu czytać tych wszystkich pięknych książeczek

dla dzieci. Doug już nigdy nie wróci, żeby zdjąć boczne kółka z rowerka Chloe i uczyć ją samodzielnej jazdy. Moja praca polegała na ilustrowaniu książeczek dla dzieci, a tu nagle nie byłam w stanie już tego robić. Musiałam z tego zrezygnować.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Był styczeń. Zima. Minęło już piekło zwane Bożym Narodzeniem. Nowy Rok. Niedługo będzie wiosna. Nowy początek. Nowa ja. Nowa Ellie.

Zeszłej jesieni Doug ożenił się powtórnie. To, że Doug jest z inną kobietą, nadal mnie bolało, ale już mnie nie złościło. Nie hołubiłam już gorączkowych marzeń, że robię im obojgu jakąś krzywdę. Ślub Douga coś zmienił. Nagle poczułam odrazę do kurczowego trzymania się tej skorupy domu i tego, co tutaj dzieliłam z nim i Chloe, skoro on tworzy dom i robi dzieci z kimś innym na drugim końcu miasta. Zrozumiałam, że co prawda desperacko, ale jestem w stanie z tym skończyć.

W następnym miesiącu przeprowadzałam się do mieszkania w centrum miasta, do jednej z nieruchomości należących do mojego ojca. Gdyby mi się więc tam nie spodobało, nie byłam skazana na długoterminową umowę. Wzięłam jakieś zlecenia, żeby ostrożnie wrócić do ilustrowania. Mogłam wziąć więcej zleceń albo zrobić sobie wolne i podróżować, wszystko mogłam.

Zamknęłam walizkę i zapiełam zamek. Ten dźwięk zabrzmiał satysfakcjonująco ostatecznie. Gdy dźwignęłam walizkę z łóżka, zerknęłam na poduszki po tej stronie, gdzie kiedyś spał Doug, i dopadło mnie poczucie, że znowu chciałabym być tulona. Przez chwilę, gdy deszcz ze śniegiem uderzał w okna, gdy nadciągały niskie i ciemne chmury, próbowałam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni miałam prawdziwy kontakt z drugim człowiekiem – kiedy mnie ktoś przytulił, szczerze uścisnął dłoń. Moim sercem szarpnął ból tak dojmujący i żywy, że skojarzyło mi się to z psami

w klatkach w schronisku, czekającymi na adopcję, na dotyk i miłość, i jak krążą i usychają z tęsknoty i więdną, i umierają, nie doczekawszy tego dotyku. Kochający dotyk dla zwierzęcia, dla człowieka, jest jak słońce i woda dla roślin.

Otrząsnęłam się z tych myśli i przyciągnęłam walizkę pod drzwi. Jutro przyjedzie ekipa przeprowadzkowa. Byłam przygotowana. Terapeutka powiedziała na ostatnim spotkaniu, że spakowanie ostatnich rzeczy Chloe nie jest krokiem ku zapomnieniu córeczki, ale raczej oznaką, że wreszcie znajduję sposoby, by żyć razem ze swoją stratą. I nie powinnam oczekiwać, że moja strata będzie łatwym czy wyrozumiałym współlokatorem. Potwór smutku dalej będzie mnie podcinał na niespodziewane sposoby. I jeszcze raz, i jeszcze. Nieprzewidywalny. Kapryśny. Zły. Oszukańczy. Zwodniczy. Problem w tym, mówiła, żeby przygotować się na ten moment, kiedy Potwór atakuje, i żeby być dla siebie dobrym i nie oczekiwać od innych, że zrozumieją, przez co przechodzę, ponieważ nie ma jednego ustalonego porządku przechodzenia żałoby... każdy robi to inaczej.

Gdy później wyszłam z domu, żeby się spotkać z ojcem na specjalnym urodzinowym obiedzie sam na sam, byłam ubrana w kozaki do kolan na bardzo wysokich obcasach i czarną dzianinową sukienkę, w którą od lat nie byłam w stanie się wbić. Usta pomalowałam ciemnoczerwoną szminką. Włosy wyszczotkowane i błyszczące spływały mi za łopatki. Czułam się silna, śmiała. Pewna siebie.

Obiecałam sobie, że tym razem między ojcem a mną będzie o wiele lepiej.